

Urban z ochroniarzem

Krzysztof Gottesman



Rys. A. Szafrański

Coroczny przełom sierpnia i września do końca życia będzie mi się kojarzyć z gdańską stoczną imienia Lenina, Wałęsą i Solidarnością. Z dziwnym czasem, w którym uwierzyliśmy, że niemożliwe może się ziścić, i w którym wszyscyśmy się wówczas pomylili. I choć marzenia kilka lat później częściowo się spełniły, to miały one już zupełnie inny smak. Niesłusznie jednak, i jest mi tego żal, w społecznej świadomości stoczniowy strajk i pierwsza Solidarność są głęboko ukryte.

Pamiętam tę niedzielę 31 sierpnia 1980 roku. W słoneczny, ciepły dzień stałem w tłumie pod bramą stoczni i przez głośniki słuchałem, jak są podpisywane kolejne punkty z listy 21 postulatów. Pamiętam oklaski i aprobatę, gdy przemawiali przedstawiciele Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego – Wałęsa, Gwiazda, Lis – i gwizdy, gdy ktoś ze strony rządowej próbował rozmyć przygotowane do podpisu punkty, jeszcze coś ugrać i zachachmęcić. Tak było, gdy mówiono o aresztowanych

niedawno opozycjonistach. Ostateczne podpisanie porozumienia przez Wałęsę i wicepremiera Jagielskiego oglądałem już w telewizji w Warszawie. To, co utkwiło mi najlepiej w pamięci z tego dnia i kilku kolejnych, to poczucie, że uchyliły się bramy do nieba i teraz wszystko będzie inaczej, lepiej, mądrzej.

Tak rozpoczął się czas nazywany przez wielu karnawałem Solidarności. Nie lubię tego określenia, choć wiem, że w znacznym stopniu oddaje ono tamte nastroje. Karnawał prawdziwy polega na beztrudnej zabawie, maskaradach,



bałach, ale z tkwiącym w tyle głowy poczuciem, że nie trwa wiecznie, lecz tylko od Trzech Króli do Środy Popielcowej. Nasz karnawał miał już nigdy się nie skończyć, być coraz piękniejszy, bardziej kolorowy i weselszy, trwać wiecznie.

A jak miało wyglądać to „inaczej, lepiej, mądrzej”? Tu jest właśnie problem. Nad tym pytaniem, chcieliśmy – tak to widzę dzisiaj – jak najdłużej głębiej się nie zastanawiać. Oczywiście, pragnęliśmy sprawiedliwości, godności, prawdy. Słowem – wolności.

Nie sądzę, by kiedykolwiek mogły powtórzyć się te niekończące się dyskusje o Polsce. We wszystkich środowiskach. Dyskutowali robotnicy, inżynierowie, plastycy, historycy, filmowcy, rolnicy. Byłem wtedy dziennikarzem „Tygodnika Solidarność”, przez pewien czas pracowałem w dziale listów. Codziennie samochód z poczty przywoził jeden, dwa lub trzy worki listów i kartek. Później jako reporter jeździłem po całym kraju, byłem na I zjeździe Solidarności w gdańskiej hali Olivia. Wszędzie byłem świadkiem ludzkiej krzywdy, którą trudno jest sobie nawet wyobrazić, krzywdy uczynionej przez dziesięciolecia pojedynczym ludziom, grupom, instytucjom, przez system, przez państwową biurokrację, przez partyjnych aparatczyków, przez milicję. Ale obok tych skarg – albo należałoby raczej napisać, że mimo tych skarg – była w listach nadsyłanych do redakcji i rozmowach przede wszystkim nadzieja, że teraz będzie inaczej. My to zrobimy.

Wszystcyśmy żyli tą nadzieją. Na przekór faktom, sytuacji politycznej w Polsce i na świecie. Jak właśnie w karnawale, jeszcze jeden taniec, jeszcze jeden kieliszek szampana. A przecież „czerwony” był wtedy naprawdę silny. Czasami, w chwilach poważniejszej rozmowy, głębszej zadumy, wielu z nas dochodziło do wniosku, że to się nie może udać. Że jest ściana, której tylko pragnieniami i największym nawet poczuciem słuszności przebić się nie da. Ludzkie nadzieje, pragnienia, najprostsze przecież marzenia muszą przegrać z rzeczywistością podzielonego świata, stref wpływów, brutalnej siły, również oporu rodaków, z których jedni się po prostu boją, a inni, mocno wrośnięci w system, wcale nie myślą łatwo oddawać przypisanych im przywilejów i władzy.

I tak się rzeczywiście stało. Środa Popielcowa w roku 1981 wypadła 13 grudnia. Karnawał został brutalnie przerwany. I nie powtórzył się już nigdy w takiej formie. Pięknej i niezapomnianej, szalonej. Jak to karnawał, od którego nie można przecież oczekiwać, że będzie rozsądny, wstrzemięźliwy, a uczestnikom

czasem nie zechce się poprowadzić kowrowodu poza wyznaczone granice. Nam się wtedy zachciało.

Co z tego karnawału zostało? Przypadek sprawił, że zadałem sobie to pytanie niedawno, w połowie sierpnia, chyba dokładnie w tym samym dniu, w którym przed 35 laty w stoczni imienia Lenina rozpoczął się strajk. Wtedy właśnie w warszawskiej księgarni przy Wiejskiej zobaczyłem smutnego, starego człowieka. Był to Jerzy Urban, z żoną oglądali książki, coś kupili. W czasach karnawału, a zwłaszcza później, Urban był największym, najbardziej nieprzebiegającym w słowach przeciwnikiem Solidarności. Jako rzecznik rządu, jeden z najbliższych ludzi Jaruzelskiego, nie tylko ją zwalczał politycznie, ale wyśmiewał, szydził, drwił z uwięzionych. Kłamał sto razy częściej i paskudniej niż socjalistyczny rząd węgierski na początku XXI wieku. Urbanowie w księgarni nie byli sami. Od lat już Urban chodzi po Warszawie w towarzystwie ochroniarza, który nawet w księgarni pilnuje, by nie stała mu się krzywda. Później prowadzi do samochodu i wiezie do domu. Luksusowej posiadłości pod miastem.

Co z tego wynika, jak to ocenić? Kto wygrał, kto przegrał? Nie ma jednej, prostej odpowiedzi. Słusznie wielu drażnią miliony Urbana, jego ostentacyjny luksus. Mnie bardziej boją i nie pozwalają na udzielenie jednoznacznych i łatwych odpowiedzi popularność wydawanego przezeń pisma, ciągła obecność w mediach, traktowanie jako autorytetu.

Chcieliśmy w karnawale, by każdy mógł wyrażać swoje poglądy, prowadzić interesy. Urban to robi. Trudno, taki koślawy wymiar przybrała również nasza wolność, nie dopilnowaliśmy, gdy była na to pora. Ale gdy patrzyłem na starego, smutnego Urbana – strzeżonego przez ochroniarza – widziałem w nim człowieka, który przegrał i ma tej porażki świadomość. Bo nigdy nie zatracił się w żadnym karnawale. ❗

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN